



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

EDWARD LUBOWSKI.

Pisarz, który w gronie przyjaciół i wielbicieli talentu swego obchodził w ostatnich dniach ubiegłego roku jubileusz trzydziesto-letniej pracy na polu piśmiennictwa, zajmuje niewątpliwie bardzo wybitne stanowisko wśród naszych komedyopisarzy z czasów najnowszych. Kusić się o skreślenie całokształtu działalności literackiej tego człowieka i o wydanie o niej sądu zupełnego dziś jeszcze niemożliwa, bowiem Lubowski ma przed sobą jeszcze długą drogę pracy, która najrozmaitsze może przybrać kierunki; obecnie można jeno naszkicować sylwetkę pisarza, streszczając w niej dotychczasowy dorobek duchowy jego. Urodzony w Krakowie w r. 1839-ym, tamże ukończył studia prawne, obcując z takimi ludźmi, jak Szujski, Tarnowski, Bałucki, Bełcikowski, Koziembrodzki, Matejko, Grotter i t. d., co z jednej strony stanowczo wpłynęło na umiłowanie przez niego dziejów ojczystych i zajęcie się nimi, a z drugiej rozbudziło i wyrobiło w nim zdolności pisarskie. W r. 1865 przeniósł się na stałe do Warszawy, poprzedzony już pewnym rozgłosem, jako autor dwóch komedii: *Karyery* (1863) i *Protegowany* (1864) i licznych artykułów literackich, umieszczanych bądź we lwowskim „Dzienniku literackim,” bądź w „Niewieście” krakowskiej, których był początkowo stałym współpracownikiem. Tu w roku 1867 wystawiono w teatrze nową jego komedię *Ubodzy w salonie*, a następnie dramat społeczny *Zyd* (1868), nagrodzony wprawdzie na konkursie, ale surowszej krytyki



EDWARD LUBOWSKI.

jak i poprzednie twory nie wytrzymujący. W ogóle jakkolwiek zdradzały już one wielki zmysł spostrzegawczy autora i w wielu razach zdolności dosadnego kreślenia charakterów, atoli pod względem artystycznego rozwoju akcji i układu części w jedną całość sztuki pozostawiały wiele do życzenia, co też krytyka współczesna nie omieszkała wytknąć, zbyt może surowo sądząc nieraz młodego pracownika, który skutkiem tego prawdopodobnie zamilkł na czas dłuższy, pracując w dalszym ciągu albo na polu dziennikarstwa, pisując stale „Pokłosie” w „Kłosach,” albo kreśląc sprawozdania krytyczne z dzieł polskich lub obcych w „Bibliotece Warszawskiej.” Dopiero w r. 1875 w teatrze Rozmaitości ukazała się nowa sztuka Lubowskiego *Nietoperze*, jedna z najcenniejszych prac dramatycznych naszego autora. W niej dopiero wystąpił on jako pisarz zupełnie dojrzały, pod względem artystycznym czyniąc zadość wymaganiom najsurowszej nawet krytyki. W komedii tej widzimy z jednej strony tłum plotkarzy, oszczerców i próżniaków, którzy albo przez zemstę, albo wprost z zamiłowania tworzą najrozmaitsze plotki o swych bliźnich, a z drugiej—ludzi uczeiwych, będących najczęściej ofiarami tamtych.

W obu tych grupach spostrzegamy wielką oryginalność i rozmaitość charakterów; każda w występujących tu postaci posiada swoje właściwości, cechy, nawet styl odrębny, a wszystkie one razem wzięte tworzą artystycznie spójną całość, odznaczającą się żywością i stopniowym rozwojem akcji, a obok tego prawdą i trafnością w kreśleniu charakterów dowodzącą, że autor umie trzeźwo patrzeć na ludzi okiem dobrego znawcy.

Następujące bezpośrednio po *Nietoperzach* komedye: *Gonitwy*, *Przesady* (1876), *Pogodzeni z losem* (1878) i *Sąd honorowy* (dwie pierwsze były pono napisane jeszcze przed *Nietoperzami*) są wprawdzie pod względem artystycznego obrobienia całości słabszemi od poprzedniej sztuki, ale natomiast w dalszym ciągu malują dość wybitnie ujemne strony społeczeństwa naszego. Tak np. w *Gonitwach* występuje szereg aferzystów, goniących za groszem bez względu na osobistą godność człowieka, a usiłujących tylko wzbogacić się chociażby z największą krzywdą ludzką; w *Przesadach* mamy udalnie skreślony stosunek zubożałych arystokratów do bogatego fabrykanta dorobkiewicza; wreszcie w *Pogodzonych z losem* i w *Sądzie honorowym* (1880) spotykamy ludzi, przypominających poniekąd postacie z *Nietoperzów*, a w każdym razie wziętych z tej samej, co i nietoperze, sfery; są to osobniki w ogóle pozbawione wszelkich zacniejszych uczuć, a żyjące kosztem innych i szarpacie dobrą sławę bliźniego. Również i w komedyi *Jacus* (1882) widzimy taką samą galerję charakterów upodlonych, pasorczytów, otaczających tłumnie głównego bohatera sztuki, skoro on z ubogiego chłopca stał się dzięki sukcesy bogatym młodzieńcem.

Jedyną komedją Lubowskiego, osnutą na tle politycznym, jest utwór p. t. *Osaczony* (1886), gdzie spotykamy skreślone ciemnymi barwami stosunki polityczne w Galicji; i tu również jak i w poprzednich swoich komedjach chłoszcze autor nielitościwie głupotę, samolubstwo lub brak ambicji.

Ostatnim i na koniec wybitniejszym utworem scenicznym Lubowskiego jest *Bawidelko*, którego bohaterka tytułowa, dziecię wieśniacze, wychowywane przez bogatą panią, staje się jeno zabawką panów, zadawalniającego swe kaprysy, a nie pomnych na to, że nie daje jej istotnego wykształcenia i nie przyzwyczajający do pracy, nieszczęśliwiają swą ofiarę, oderwaną od pnia rodzinnego.

Z tego, cośmy powyżej powiedzieli, możemy wynioskować, że w ogóle w komedjach Lubowskiego więcej barw ciemnych, niż jasnych, więcej charakterów nizezemnych, upodlonych, niż śmiesznośc, słabostek nieszkodliwych zazwyczaj; bohaterowie jego są to przeważnie plotkarze, oszczercy, pasorczyki, próżniacy, egoiści, uganiający się za groszem i zdobywający go kosztem sumienia i godności. To też i humor autora jest raczej sarkastycznym dowcipem, nie zaś tym pogodnym humorem, jaki nas zachwyca np. w *Fredry*.

Obok prac dramatycznych Lubowski dał nam i kilka powieści społecznych, jako to: *Silni i słabi* (1865), 2 t. pod pseudonimem Spiridyona), *Aktorka* (1871), *Na pochylności* (1874, 2 t. pod pseudonimem Boleja Kruta), *Krok dalej* (1885, 3 t., stanowiący jak gdyby dalszy ciąg poprzedniej), *Cichy Janek i głosny Franek* (1879), wreszcie drobne nowelki, z których kilka wyszło w ogólnym wydaniu p. t. *Kochanek Malgosi*. Z powyższych powieści najlepszymi są niewątpliwie *Na pochylności* i *Krok dalej*, utwory, w których autor wytyka niezdolność i dziwną lekkomyślność obywateli ziemskich w Galicji, których dobra powoli przechodzą w ręce przybyszów niemieckich; wprawdzie w drugiej z tych powieści widzimy znów tło znacznie jaśniejsze, na którym świeci przykładem wzór zacnego obywatela-przechrzty, pracującego tylko dla dobra ogółu, wśród którego żyje, pomimo bolesnych upokorzeń, na które nieustannie jest narażony.

Do powyższych utworów należy jeszcze dodać kilka studyów naukowych, jak np. studyum o Maryi Leszczyńskiej, Rodzina Borgiów, Marya Stuart, Don Carlos, Wallenstein, kilka przekładów z Szekspira, Dumasa i Weilena, a następnie liczne sprawozdania z prac literackich, krytyki naukowe i teatralne i artykuły dziennikarskie, umieszczone w różnych czasopismach (*Kłosa*, *Biblioteka Warszawska*, *Bluszc*, *Tygodnik ilustrowany*), a wówczas dopiero wytworzymy sobie pojęcie i o niezmiernej pracowitości jubilata naszego.

J. Nitowski.

KĘDY DROGA?

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA

przez

Wandę Grot-Bęczkowską.

(Dalszy ciąg.)

Nazajutrz po owym pożegnalnym wieczorku, Krasnohorski, powiódł żonę i córki do Zarzecza. Dumny był i rad z świeżo nabytego dziedzictwa. Imponował mu pałac i nazwa obywatela, z którą, nie miał się jeszcze czasu oswoić.

— Wszak nie przesadzałem? — powtarzał zacierając ręce zadowolony. — Cieczko mająteczek!... Nieprawdaż?

Stali właśnie w sali balowej urządzonej z wytworną elegancją i gustem, bo Krasnohorski nie pozwolił nawet odpocząć żonie i córkom, po podróży, oprowadzał po całym pałacu, cuda jego pokazując.

— Sliczna, prawdziwie pańska siedziba! — rzekł z galanterją całując rękę p. Heleny. — Łudzę się, że i ty Heleniu, mimo niezbyt przyjemnego dla mnie zwyczaju potępienia ryczałtowo wszystkich moich planów i czynów, łagodniejszą bądźziesz w sądzie. Przejedna cię okolica bardzo malownicza, najzupełniej odpowiednia romantycznym twoim poglądom.

Mówił głosem słodkim, modulowanym, ale czuć w nim było złośliwą ironią. Z uprzedzającą grzeźnością jednak poprowadził żonę ku oknu.

— Spójrz tylko Heleniu! — prosił uprzejmie. — Park duży i piękny i jaka rozległa perspektywa! Ach, gdyby nie te kominy fabryczne na przeciwległym brzegu jeziora! — zawołał naraz z niechęcią. — one psują efekt!...

— Wcale nie, ojezulku! — ozwała się żywo Amelka. — To właśnie uroku dodaje. Widać ludzi krzątających się jak mrówki w wielkim mrowisku a przytem czystość i dobrobyt. Jak oni starannie utrzymują swoje chaty i ogródki.

— No, no, idealistko — zaśmiał się ojciec. — A ja ci powiem prawdę, że z powodu tych oto kominów właśnie, namyślałem się długo, czy mam nabyć Zarzecze. Delikatny, wytworny smak hrabiego Brunona, odrazu zarzucił mi niestosowność takiego sąsiedztwa.

— Czyżbyś zaprosił tutaj hr. Brunona? — spytała przestraszona p. Helena.

— Tak duszko! I księcia Rafała także — odpowiedział z dumą Krasnohorski.

Po twarzy p. Heleny przemknął cień.

— Nie wspomniawszy mi o tem Klemensie — rzekła po chwili. — Przypuszczałam, że po gwarze miasta, przyjemnie nam będzie odpocząć tutaj.

— O mateczko! ja bardzo lubię gości! — zawołała z żywością Jania.

— Jesteś moją nieodrodną córeczką Janiu! — ozwał się pan Klemens pogładziwszy policzek córki. — Posiadamy oboje wrodzone poczucie gościnności, tej dawnej, szlacheckiej gościnności, która, niestety, w obec takiego usposobienia i dziwacznych pojęć jak u ciebie Heleniu, zaginać musi.

— Ależ mój Klemensie!...

— Nie unos się, Heleniu! Czyż to twoja wina? — mówił tonem wyrozumiałym małżonek. — To ta krew niemiecka twoich pradziadów kochanko, w małej częstce, ale jednak się w tobie odzywa.

P. Helena zarumieniła się.

— Zbyt odległa to przeszłość! — szepnęła z przykrością. — A zresztą, chociażby nawet cechą niemieckiego narodu była niegościnność, to, im z tem lepiej... Przyznasz, mężu, że nasza nieogłędność i łatwość w zawieraniu znajomości i bliższych stosunków przyjaźni, nie zawsze wychodzi na dobre.

— „Szlacheć brat łąta, z każdym się zbrata“... — wtrąciła żywa jak iskra Jania. — Czytałysmy to w jakiejś historycznej powieści, prawda Amelko?

Amelka, czy miała spuszczone i wyraz pogębienia na twarzy.

— Patrz, wieże kościoła widać wśród drzew... — rzekła pociągając siostrę ku drzwiom otwartym na balkon — Ładny pejzażyk! Czy zabrałaś penzle i farby Janiu? Na wsi często spotkać można rzeczy uwagi godne. Skorzystamy, z naszych malutkich talentów.

— Hrabia Brunon wam pomoże — odezwał się p. Krasnohorski. — To skończony artysta! Zobaczcie jaką sensacyjkę wywoła w okolicy przyjazd księcia Rafała i hrabiego. A mamy tu znajomych w sąsiedztwie, Heleniu. Malscy, Źdrojowscy, Zabrzezińscy! Będą ogólnie zazdrościć! — dodał zacierając ręce.

— Czego, ojezulku? — podchwyciła ciekawie Jania.

P. Klemens się roześmiał.

— O naiwne dziecię! Stare, mitrą czy koroną zdobne nazwisko, to magnes, to potęga! — odparł.

— Chyba nie w teraźniejszych czasach, ojezulku! — wtrąciła nieśmiało Amelka.

— Zawsze moja egzaltowana córeczko! zawsze! — dowodził p. Klemens z przekonaniem. — Oczywiście plebs, będzie z rozkoszą opowiadał, że część dla starych, magnackich rodów, to już rzecz przebrzmiała, że teraz innym bożkom kłaniać się należy i t. d. i t. p., ale my dobrze wiemy, co o tem sądzić.

— Wcale tego nie uznaję! — wtrąciła odważnie p. Helena. — Nie mogła bym szanować ani hrabiego Brunona, ani księcia Rafała... Dla tego dziwię się, że ich zaprosił mąż!

— Znam twoje dziwactwa Heleniu — odparł przez zaciśnięte zęby Krasnohorski. — Odkąd pobraliśmy się, jesteś zawsze stroną opozycyjną. Mąż chce tak — żona z pewnością inaczej! Nie mówmy o tem! Jakkolwiek Zarzecze nie mało już gotówki pochłonęło, czekają mnie jeszcze rozmaite ulepszenia i koszta — dodał zmieniając rozmowę.

— Wieś zaniedbana okropnie... — odezwała się p. Helena. — Pomieędzy ludem musi być nędza!... Smutny kontrast z pałacem...

— Ach ojezulku! — zawołała podbiegając do ojca Amelka. — Trzeba się nimi zająć, dopomóż...

— Chyba po to, aby tym łatwiej ograbili potem swoich dobroczyńców... — przerwał niechętnie. — Chłopa trzeba ujarzmić, żelazną dłońią za kark ująć, ale nie psuć pieczętotami... Stosunki pomiędzy dworem a wsią bywają trudne i nieprzyjemne... Ale ja mam zamiar, odrazu u siebie, nowy system zaprowadzić. Żadnych względów, żadnej miękości!...

P. Helena, we wzroku starszej córki dostrzegła zdumienie; Jania, słuchała ciekawie.

Nieszcześliwą matkę, wciąż teraz gnębiła myśl, że każda sprzeczką, czy zdanie lekkomyślnie rzucone, odsłaniać będzie dzieciom i przykry stosunek domowy i moralną wartość ojca, którego niezmiernie kochała.

Istotnie miała się czego lękać. Dla dziewcząt szlachetnych i dumnych, w rodzicach szukających wzoru dla siebie, ojciec, powinien być godnym tej czei i przywiązania, jakie dla niego czuły, a zarazem uosobieniem prawego i rozumnego człowieka pozostać.

Tymczasem p. Klemens ciągle się zdradzał.

— Kochany mężu... — zaczęła po chwili — wskazując oczyma córki, p. Helena.

— Wiem, wiem, co chcesz powiedzieć... — przerwał zniecierpliwiony. — To się na nic nie przyda! Z pewnością w romanse bawię się z ludźmi nie będąc! Chłop zawsze chłopem pozostanie... Spotkałem już nie jednego pijanego... Ot i źródło nędzy!...

Amelka przytuliła głowę do ramion ojca.

— Oni mają umysł ciemny, tateczku! — rzekła słodko. — Nie rozumieją, nie wiedzą...

— Więc cóż z tego? Czy chcesz abym pensjonaty dla nich zakładał?

— A moja siostra będzie ochmistrzynią — wtrąciła zartobliwie Jania. — Ja się na nic nie przydam, bo lud wiejski bywa zwykle brudny, dzieciaki nieuczesane, obdarte... Mój zmysł estetyczny, nie pozwala na zetknięcie się z brzydotą...

— Obmawiasz się, Janiu! — rzekła napominająco matka.

— Tak, tak, mameczko!—potwierdziła Amelka.— Jeszcze na pensyi będąc, nieraz myślałyśmy nad tem, czemuż pożytecznie zapełnić życie. Widzę teraz, że nam materiału nie zbraknie. skoro wiesz nasza taka uboga... Nie posiada oczywiście ani szpitala, ani szkoły... Jania i ja, powinnymy się tem zająć...

P. Klemens się roześmiał, ale śmiech to był sztuczny.

— Czy nie mówiłem, Heleniu?—zwrócił się do żony z błyskiem złośliwym w oczach. — Czy nie przepowiadałem? Dzięki twojemu pomysłowi duszko, córki nasze, jak to miałem sposobność zauważyć, mają nieco przewrócone pojęcia. Mówię nieco, bo zbyt krótko jeszcze na nich patrzę, abym w całej rozciągłości mógł rzecz zbadać. Nie jestem bynajmniej wdzięczny za te nadprogramowe do ich edukacji dodatki.

— Nie rozumim cię Klemensie...—odezwała się dotknięta p. Helena.

— Ależ drogi ojczel!—zawołała z żywością Amelka.—Nasze przewrócone pojęcia objawiają się w jednym tylko pragnieniu: stać się pożyteczną ogółowi w jakikolwiek sposób i na nazwę pasorzytów nie zasłużyć.

P. Klemens, z uśmiechem pobłażliwym poglądził warkocze córki.

— Co za romansowe ideje!—rzekł na pozór żartobliwie.—Wyidealizowana miłość bliźniego, urojone jakieś względem społeczeństwa obowiązki!... Bawi mnie to!

— Ojczulku!—zawołała zdumiona Amelka.

Jania, ciekawe oczeta wlepiła w ojca.

— Zastanówcie się...—podjął w tym samym tonie p. Klemens. — Szpitale obejda się bez was, bo służbę przy chorych, pełnią zakonnice; w szkołach są nauczyciele... Gdzież tam jest miejsce dla takich wykwintnych, delikatnych panien, jak moje córeczki naprzykład? Eleganckie salony, zagranica, oto to odpowiednie... Muzyka, taniec, lekka beletrystyka, suknia strojna lub piękny kapelusz, oto rozrywki właściwe... Cel—wyjście za męża!

— Ojczulku—odezwała się zdumiona i rozżalona Amelka.—Ojczulek sobie z nas żartuje. Czyż podobna, aby takie czeze, bezpożyteczne życie, mogło kobiecie wystarczyć? Duch ludzki szerszych kręgów wymaga!

— Frazesy!—rzekł kwaśno p. Klemens, ucinając rozmowę.—Czy oglądaliście już swoje wierzehowce? A konie do wyjazdu? Każda z was ma swoją parę kucyków... Hrabia Brunon nauczy was z chęcią konnej jazdy... Znakomity z niego jeździec!...

Dziewczęta ticałowały ręce ojca.

— Jesteś bardzo dobrym, ojczulku, ale nie chcemy abyś nas psuś i rozpieszcał...—mówiły.—Mogłybyśmy za bardzo w rozrywkach zagustować, lub zgnuśnić w przyjemnej beczyności...

— O beczyności mowy tu być nie może—zauważył p. Klemens.—Życie towarzyskie, ma swoje wymagania. Czekają na was bale, wizyty!... Salony nasze w Warszawie, należeć muszą do owych świetnych salonów, których już teraz mniej z dniem każdym, a w których ześrodkowują się powagi rodowe, finansowe, a dla dodania wdzięku zabawy, żywioł literacki i artystyczny. Jednym słowem muszą to być salony „modne” i wy moje piękne córeczki, musicie matce dopomóc. Nie należy zapominać, coście stanowisku ojca winny. Człowiek zawsze pięć się w górę powinien.

P. Klemens, z miną wyższości przeszedł się po salonie, poglądził w zwierciadle faworyty i z uśmiechem zwrócił się ku żonie.

— Mam nadzieję, że i ty Heleniu, ożywisz się przy naszych dziewczętkach. Wcale ci z melancholią nie do twarzy. Tak wyglądasz, jakbyś się na cały świat dasała... Wyznaję, że sprawia mi to pewien rodzaj niesmaku. Zamiast być uwielbianą, poszukiwaną królową salonów, co przy twojej urodzie i wykształceniu jest rzeczą tak łatwą, ty, odgrywasz rolę ofiary, czy niuiki.

P. Helena, podniosła czoło z wyrazem obrażonej godności.

— Bądź łaskaw Klemensie, nie posądzać mnie o odgrywanie jakiegokolwiek roli—rzekła.—Znasz moje usposobienie i wiesz, że inną nie będę.

— A jednak gdybyś zechciała duszko skopiować panią Kamillę naprzykład?

— Nigdy i w żadnym razie, p. Kamilla, za wzór służyć mi nie może—odparła, panując nad wzburzeniem Krasnohorska.

Jania, pełne pytań spojrzenie rzuciła Amelce.

Amelka głowę miała spuszczoną; każde ostrzejsze słowo ojca, twarz jej oblewał rumieńcem.

— Dowiedziona jest rzeczą, że nie nie ma trudniejszego, niżeli upór kobiecy zwalczyć—skarżył się p. Klemens. — Szkoła, że przed ślubem nie okazujecie nam się takimi, jakimi w istocie jesteście piękne panie. Jest to pewien rodzaj oszustwa malenkiego, niewinnego na pozór oszustwa, do którego wszakże kobietki szczególny pociąg ezuja. Wszak mam słuszość Heleniu?

Kłół szyderstwem, ale słodko w oczy żonie patrzył i uśmiechał się do niej.

P. Helena spuściła głowę. Tłoczył ją ciężar wspomnień, które, stojącego przed nią małżonka, wymownie oskarżały.

Wszak to ona, tylko ona miała prawo czynić mu wyrzuty. Mąż jej, kłamał od pierwszej chwili kiedy go poznała, kłamał wciąż przez długi, długi przeciąg lat dwudziestu, które przeżyli z sobą.

— Jadę do Krzemienia—rzekł po chwili swobodnie. — Jakież to dom miły! Kiedyż się wybierzesz z córkami do p. Kamilli, zoneczko? Jej się należy przed innymi pierwszeństwo, jako dawniej—znajomej...

P. Helena, wzrokiem dziwnie przenikliwym, spojrziała na męża i odrzekła.

— Pomówimy o tem później Klemensie!...

Wzruszył ramionami.

— Nowa serya grymasów...—mruknął niby do siebie.

Chłodnemi usty dotknął czoła żony, i córkom w powietrzu pocałunek rzucił i wyszedł.

Jania i Amelka, patrzyły za nim gdy przechodził salon, giętki, wytworny, wzór zda się elegancyi i szyku. Bujne jego kształty, chociaż rozrosłe wspaniale, wolne jednak były od otyłości i krępka jeno siłą zapowiadały. W bogactwie włosów kruczej czarności, nie pojawiła się ani jedna nitka srebrna, mimo pięćdziesiątki, która się zbliżała, tak jak i twarz zawsze piękna wolną była od zmarszczek.

Widać było, że człowiek ten, żył przedewszystkiem dla siebie i w sobie. Cóż dziwnego, że czas go oszedzad?

— Mamol! mameczko!—rzuciły się ku matce dziewczęta, gdy tylko drzwi za ojcem się zamknęły.

Ale p. Helena odsunęła córki łagodnie lecz stanowczo.

— Zmęczona jestem...—rzekła, siłąc się na spokój.—Pójdę do siebie i odpocznę...

Ucałowała pobladłe i zmartwione panienki i szybko odeszła. Za wiele goryczy weszło w jej piersi.

Amelko—spytała szeptem Jania, bo się niedłwie brzmienia słów własnych lekła — co to wszystko znaczy? Czyżby ojczulek gniewał się o co? Tak mi dziwno... Ojczuś jest jakiś inny... Doprawdy pojąć nie mogę...

— Najlepiej nie zwracać na to uwagi—odparła Amelka ukrywając przed siostrą łzami zamglone oczy.—Co się ty albo ja, rozumiemy na tem? Widoocznie rozmaicie bywa między małżeństwami... wiemy przecież, że ojczulek mamę kocha...

— Oczywiście...—mówiła nieprzekonana Jania.—Ale to smutne, Amelko, bardzo smutne! Wiedziałam, że mameczka była zmartwiona! E! nie mam już ochoty wyjść za męża...—dodała rozżalona.

— A cóż ten z brodą i romansowemi oczyma?—usiłowała żartować Amelka.

W oczach Jani stały krople łez. Instynktownie odczuła, że w bogatych, wspaniale umeblowanych salonach rodziców, niczego nie brakło, prócz zobopólnej sympatyji i ciepła domowego ogniska.

I w pojęciu Amelki o słodkim związku dwóch dusz pokrewnych coś się psuć zaczęło.

III

Nad jeziorem zachodziło słońce.—Każda kropelka wody mieniła się złotem i purpurą i powierzchnia cała, wydawała się jakby jedna połyskująca fala tęczyowych blasków.

Wiatr przynosił balsamiczną woń sosen porastających wzgórze,—marszczył lekko kryształową toń, szumił łagodnie między drzewami parku, który się na brzeg jeziora spuszczał.

Zgrabna wysmukła łódź kołysała się na wodzie. Stary przewoźnik Walenty wygrywał na fujarce; od rzeki, smętna pieśń flisaków płynęła.

Pomiędzy wonnym kwiatem okrytymi lipami, ukazały się jasne suknie panien Krasnohorskich i delikatne różowe twarzycki w obramowaniu lekkich jak obłoczek koronkowych „budek”.

— Ach jak tu pięknie! zawołała zachwycona Jania, stając na brzegu. — Patrz, patrz Amelko!

— Istotnie, widok wspaniały! szepnęła wzruszona Amelka. — Jaka szkoda, że mama nie popłynęła z nami!

Przyroda, dziwnie kojący wpływ wywiera...

Wesołość Jani prysnęła, jak jedna z tych kropelek, które u jej stóp rozpryskiwały się w leciutką piankę białą...

— Jasne panienki chciały pono do Zambrówki? spytał Walenty odczepiając łódkę.

— Tak mój Walenty! Ale jak mi raz jeszcze powiecie „jasna panienko” to Jakuba na miejsce wasze przy łódce umieszczę...—mówiła Amelka nśmiechając się dobrotliwie.

— Istotnie, widok wspaniały! szepnęła wzruszona Amelka. — Jaka szkoda, że mama nie popłynęła z nami!

— Człowiek nie dzisiejszy proszę jasnej panienki—rzekł z wahaniem. — Każdemu trza oddać co się należy. A i od dziedzica wyraźne pono nakazanie służy. Dworsey mówili...

— Nie lękajcie się staruszkul!—Inni niech sobie mówią jak im kazali, ale wy, gdy jesteśmy na jeziorze zapomnijcie o tem!...—uspokoila go Amelka i wskoczyła do łódki.

Jania, z pękiem pachnącego lipowego kwiecica,—zajęła miejsce przy siostrze.

Łódź pomknęła szybko.

— Panienki nie były jeszcze w Zambrówce?—spytał Walenty,—zrecznie kierując wiosłem.

A to akuratnie przed nami!...—Cukier tam robią proszę panienek... — Siła ludzi pracuje od rana do nocy, ale też i płacę niegorszą mają... — Jakie to sobie chaty pobudowali; a baby z nabiałem i z warzywami do miasta jeszcze na targi chodzą...—Okrutnie ci cheiwy naród te cukierniki...

— Dobrze robią mój Walenty!—ozwała się enegicznie Jania. — Dla tego mają i chaty porządne i dobytek!—U nas w Zarzeczcu, strach jaka bieda!—płakać się chce, gdy się przez wieś przejeżdża...

— To prawda!—rzekła Amelka.—Chaty się wala, płoty rozgrodzone... — Dzieci biegają samopas obdarte, a twarzycki ich głodem wyniszczone...

Walenty, głową pokiwał. — Proszę panienki,—wyrzekł po chwili—patrzac nieśmiało w oczy Amelce.—Juści bieda jest, bo jest... — Na przednowku, to już ani kartofla nie ujrzy ani krup...—Chybaby u tych bogatszych ale ci, wiadomo, nikomu nie dadzą...

— Zwyczajnie jak chłopi, proszę panienki.—Każden aby dla siebie...

Zeby u nas zamiast karczmy kościół był na ten przykład, a w pałacu jenszy dziedzie był siedział, jako w Broniszówce albo i w Maliszewie, to by i na przednowku ludziskom pomógł i o zbudowaniu kościoła Pańskiego pomyślał.—Strach, jakiego my tu dziedziaca mieli!

— Więc taki był zły?—spytała zaciekawiona Jania.—I czemuż to?

— O panienczko!—Dużo by o tem gadać!—odparł niechętnie stary.—Bywało,—jeździ i jeździ po jakichś dalekich krajach, a w Zarzeczcu jeno ekonomy rządzą...—Wiadomo.—Taki rządca czy ekonom, aby ino do siebie ciągnie... — Juści teraz oni na swoich wsiach siedzą, ale u nas bieda, coby siekierą nie uciał...

— Jakież to smutne!—szepnęła Amelka. — Alczemuż nie zabraliście się do pracy nie ratowali walących się chat?...—Jak to Zambrówka ślicznie wygląda!—Jak by miasteczko jakie! — Wszędzie znać pracowite i troskliwe ręce...

Stary głową pokręcił.

— Jensza to rzecz panienko!—rzekł.—U nas lad głupi, bo jak Zarzeczce Zarzeczem, szkoły nie bywało. Do Maliszewa albo i do Broniszówki iść.. daleko! Gromada się na szkołę składać nie chciała, dwór takoz i tak zeszło.

— Ile by tu dobrego zrobić można...—szepnęła Amelka siostrze. — Jakże rozległe pole pracy przed nami!...

— Ojczulek nie pozwoli...—odparła Jania. — Musisz się z tem pogodzić zawczasu.—No,—ja się tak bardzo nie martwię...—dorzuciła ze zwykłą pustotą.

Łódka mknęła lekko, zataczając kręgi po wodzie. Jak daleko sięgnąć okiem wszędzie widok czarowny i taki spokoj i cisza.

Widać już było wyraźnie wieżyczki kościoła w Zambrówce, słychać gwar...

Wkrótce do brzegu przybito.

Amelka wyskoczyła, rozglądając się ciekawie w około.—Jania kołysała się w łódce, upojona, rozmarzona.—Zdjęła kapelusz i czarne warkocze spuściła na plecy swobodnie. Amelka,—zartując, wianek z lipowego kwiecica włożyła jej na głowę i młode dziewczę w sukience jasnej, z urodą, która pociągała mimowolnie wzrok każdego,—wyglądała jak boginka.

Cudny wieczór letni rozkołysał marzeniami żywą wyobraźnię dziewczyny.—Zaklęty kraj poetycznych snów, otworzył jej szerokie pole do rojeń skrzydlatych, serce rozpiekała tęsknota...—pragnienie...

Ostatnie blaski słońca gasły zwolna... — jezioro przybrało mocno szafirową barwę.

Od strony Zambrówki, drogą młodem drzewkami wysadzoną zbliżało się ku brzegowi dwóch mężczyzn.—Jeden z nich wzrostu średniego, szczupły i giętki, w popielatej marynarce i takimże kapeluszu o szerokich skrzydłach,—szedł szybko naprzód potrącając laską kamyki przydrożne jak człowiek czemś zaniepokojony i wyłącznie myśli jednej odany.

Za nim w pewnej odległości postępował młody chłopak w bluzce robotnika fabrycznego, niosąc szkatułkę, którą ostrożnie do piersi przyciskał.

Zbliżyli się do brzegu prawie niepostrzeżeni.

— Niema łódki proszę pana doktora,—ozwał się głośno chłopak i wtedy dopiero Amelka drgnęła i odwróciła się, stary Walenty skłonił się czapką przybyłemu.

Oczywiście, — nastąpiło zobopólne zdziwienie i zaambarasowanie.

Lekarz uchylił grzecznie kapelusza i odebrał z rąk chłopca szkatułkę.

— Wracaj do roboty — rzekł. — A pamiętaj, — że by Izidor miał ciągle zmieniane okłady. — Już ja sobie znajdę łódkę.

— Pewniuszko do naszej Gwiazdźdiny wielmożny pan doktor chce się przepawić — rzekł Walenty, kłaniając się. — I po księdza już rankiem jeździli... — Cóż,—kiej łódki niema... — Roi się na jeziorze od rybaków...

Młody lekarz obejrzał się niespokojnie.—W oddali uwijały się łódki, nie tak blisko jednakże, aby rybacy gesta spostrzedz, lub głos usłyszeć mogli.

Amelka,—zarumieniona podeszła ku lekarzowi.—Jeżeli pan zyczy sobie dostać się do Zarzecza,—możemy popłynąć razem — odezwała się uprzejmie. — Wyobrażam sobie z jaką niecierpliwością chora oczekuje pańskiego przybycia.—Za 20 minut będziemy w Zarzeczu.

— Z wdzięcznością przyjmuję!—odparł ucieszony lekarz. — Istotnie byłem w kłopotcie.—Domyślam się,—że m am przyjemność rozmawiać z p. Krasnohorską?

— Tak paniel!—a oto młodsza siostra moja—dopłynęła przedstawienia Amelka,—wskazując kołyszącą się w łódce Janię.

Doktor spojrzął i w oczach jego odbił się wyraz zachwytu. — Wprędce atoli zapanował nad wrażeniem.

— Edward Dembiński!—rzekł kłaniając się powtórnie.—A skoro panie jesteście tyle na mnie łaskawe, proszę bym o pośpiech. — Rankiem jeszcze przysyłało po mnie, ale obowiązkowe zajęcia w fabryce,—zatrzymało mnie, aż do tej pory. Lękam się, abym nie usłyszał bardzo, bolesnego dla lekarza słowa: „zapóźno.“

Wypłynęli na jezioro.

— Jaki pogodny zachód!—zauważył Dembiński, z widocznym zachwytem rozglądając się w około.—Panie bezwątpienia więcej posiadają czasu do podziwiania cudów przyrody i piękności tutejszych okolic. Mnie nader rzadko sposobność taka się zdarza...

— Czy tak wiele jest zajęcia w fabryce?—spytała grzecznie Amelka.

Irytowało ją milczenie siostry i chłodna jej obojętność względem doktora.

Nim zdążył odpowiedzieć, łódka przechyliła się gwałtownie. Amelka krzyknęła, Jania się śmiała.

— Jezioro w tem miejscu bardzo jest głębokie...—zauważył Dembiński.

— Pan się lęka?—spytała Jania z szyderezym błyskiem pięknych oczu.

Były to pierwsze słowa jakie do niego wyrzekła. Dembiński uśmiechnął się lekko.

— Tak pani!—odparł szczerze—przyznaję że się przeląknę...

Jania rozśmiała się wesoło.

— Podobą mi się pańska otwartość, panie doktorze!—rzekła.—Nie stworzonoś pan na bohatera.

— Janiu!—zawołała karcąco Amelka.

Dembiński, patrzył spokojnie w czarne błyszczące zrenice, badawczo w niego utkwione. Ledwo dostrzegalny uśmiech błąkał się na jego ustach.

— Pozwoli pani przypomnieć sobie—rzekł z wytworną grzecznością—że życie lekarza w pewnych chwilach ma wartość ogromną. Pacjentka, do której dążę obecnie z żywą niecierpliwością, jest matką sześciorga dzieci...

— Aa! — mimowolny wykrzyknik wyrwał się z piersi Jani. Zarumieniła się.

Amelka serdecznie spojrzała na Dembińskiego. — Pan musisz bardzo kochać swój zawód? — spytała.

— Tak pani!—odparł z pewnym wzruszeniem.—Wzniosły jest i szlachetny!

Zamyślił się i wzrok jego w dal pogonił.

Jania śledziła go ukradkiem. Czy dla tego, że dotąd mało mężczyzn widziała, czy istotnie tak było, ale Dembiński wydał jej się bardzo pięknym mężczyzną.

Ciemny blondyn o dużych piwnych oczach, o pięknych i czystych rysach a myślącym czole, posiadał coś bardzo sympatycznego w twarzy i układzie. Miał przytem swobodę salonowca i pewien rodzaj dumnej powagi, która imponowała wesołej Jani.

— Jakiś tam doktor z fabryki!—myślała niezadowolona.—Amelka zbyt pochopna do zawierania przyjaźni...

I harda dziewczyna zasklepiła się w milczeniu, a ilekroć uczuła na sobie spojrzenie Dembińskiego, odwracała się i lekki marsik pojawiał się na czole.

Łódka zatrzymała się przy pierwszych drzewach parku. Tam już zmrok był zupełny.

Dembiński, pochwycił szkatułkę i skłonił się pannom.

— Stokrotne dzięki! — rzekł zwracając się ku Amelce.—Jeżeli uda mi się uratować chorą, pani właściwie będzie ona zawdzięczała życie.

— A niechże pan nie przecenia takiej drobnotki...—broniła się Amelka, zarumieniona.—Walenty będzie do pańskiego rozporządzenia, panie doktorze, jeśli zechcesz powracać wodą...

— A jakże by inaczej, panienko?—zauważył stary Walenty.—Gwiazda koni nie ma a choćby miał, to trzeba by w okół jezioro okrążyć, hen, przez Maliszewskie pola. Już ja poczekam na wielmożnego pana.

Dembiński, skłonił się pannom raz jeszcze. Jak się to stało, sam nie wiedział, ale oczy jego zamiast z wdzięcznością spocząć na miluchnej twarzy Amelki, pogoniły ku Jani, która stała opodal obojętna, z pewnem lekceważeniem wydymając usteczka i wciąż do pośpiechu siostrę nagląc.

Wtem kiedy się najmniej tego spodziewał czarne błyszczące oczy skierowały się ku niemu i przy łagonym już zmierzchu ustępującego dnia, zaświeciły mu takim nieporównanym blaskiem, że dreszcz rozkoszny go przeniknął. Zmieszał się... ogarnięty wzruszeniem... Słów mu na ustach zbrakło... Te promienne oczy, nieznanym dotąd ogniem rozpały mu w piersi.

Młody Dembiński nie wiele dotąd obcował z kobietami i prawie ich nie znał. Życie upływało mu w twardej pracy, bo do zawodu swego przywiązany był jak mało który lekarz.

Pomimo rozległej praktyki i zajęcia w fabryce, wciąż grzebał się w książkach, uczył się, badał; medycynę wyobrażał sobie jako nigdy niezgłębioną

kopalnię wiedzy, w której, całe życie czerpiąc, nie czego się jeszcze nauczyć nie można.

Był to charakter tęgi, wyrobiony, nie pozwalający sobie dotąd na słabostki żadne a przede wszystkim, uczciwy. Ojciec jego, zacny popularny lekarz, zmarł w 47 roku życia zaraziwszy się w szpitalu tyfusem. Gdy na krótką chwilę przed śmiercią odzyskał przytomność, wskazując dziewięcioletniemu naówczas Edwardowi mdlejącą z rozpaczny matkę, rzekł: „Pamiętaj o matce“... chłopak, mądre nad wiek oczy utopił w twarzy ojca z taką siłą świadomości tego czego od niego żądają, że gwałtowny wzrok umierającego, rozjaśnił się nadziemską radością a na martwych rysach uśmiech słoneczny zastąpił.

Wiele ciężkich dni, miesięcy, lat od tej chwili upłynęło; dziecko, potem mężczyzna, nie zapomniał nigdy jaki obowiązek na niego włożono. Matka, znalazła w nim opiekuna prawdziwego, przywiązanego i posłusznego syna, społeczeństwo człowieka na którego młode życie spłynęło już wiele błogosławieństw i łez wdzięczności.

Czy był pięknym? O tak! Całą treść jego wewnętrzzną, można było z twarzy wyczytać. Ogólnej harmonii nie psuła żadna zniechęcałość, ani gonienie za efektem. Prostota i skromność w połączeniu z dumą szlachetną i urok łagodnej jak u dziecka dobroci, cechowały każdy jego postępek jedną serca życzliwe i oddane.

Błady, senny księżyc wypłynął na niebo rzucając srebrne na wodę odbłaski, gdy łódka mknęła z powrotem ku Zambrówce. Gwiazdźdina była uratowana. Operacja aczkolwiek trudna, udała się szczęśliwie.

Lekarz zmęczony, z prawdziwą rozkoszą wciągał w płuca świeży powiew nocy, czasem dłonią wody zaczerpnął i zwilżył rozpalone czoło, a wzrok bezwiednie zwracał się ku białemu pałacowi na górze, którego rzęsiście oświetlone okna ukazywały mu się niekiedy wśród drzew

Piękna twarz Jani, nie schodziła mu z myśli. Z gwiazdźdystych oczu dziewczyny padł jakiś dziwny urok. Namiętna moc uczucia, nie zmarnowanego dotąd w lekkich krótkotrwałych miłostkach wstrząsnęła nim do głębi, uderzyła jak piorun, nagle, niespodzianie.

Człowiek ten, tak surowy dotąd dla siebie, pełen hartu woli i niezaprzeczonej umysłowej wyższości, śnić zaczął naraz złoty sen o szczęściu podzielonym z drugą istotą, o miłości wielkiej, niezgłębionej.

Bładowe promienie gwiazd migwały drżąc nad jego głową, fale szemrały łagodnie... cisza była w około i tylko w sercu Edwarda odzywała się najpiękniejsza pieśń w życiu, pieśń tak słodka i kusząca, że komu raz dźwięki jej duszę przenikną, wiecznie będzie tęsknił do niej.

Rozmarzony wzrok jego padł na małą wiązaną skromnych żółtawych kwiatków, spoczywającą na dnie łódki prawie u jego stop.

Czarnooka dziewczyna miała pęk kwiecica takiego w rękach i na foremnej główce, gdy po raz pierwszy spojrzął na nią.

Machinalnie, nie zdając sobie sprawy z tego co czyni, Dembiński pochylił się i na wpół zwiędłe, wilgocią przesiąkłe kwiaty, znalazły się głęboko na jego sercu ukryte.

— Byłem w krainie czarów... szeptał w kilkanaście minut potem idąc drzewami wysadzoną dróżką ku Zambrówce. Śniłem o gwiazdce zawieszonej na błękitach... Szaleństwo!

Gdy jednak powróciwszy do domu przyłożył usta do pomarszczonej dłoni matczynej i spojrzął w rozjaśnione jego widokiem oczy, mimowoli uśmiech wesoły wybiegł mu na twarz i rzekł z przejęciem: Jakże to życie piękne matko, jakie piękne!

(Dalszy ciąg nastąpi.)

PRZEGLĄD TEATRALNY.

Stowarzyszenie kobiet wyższych, komedia w 1-ym akcie Andrzeja hr. Fredro. — **Syn**, sztuka w 4-ach aktach Kazimierza Zalewskiego. — **Dzień wigilii**, obrazek w 1-ym akcie Edwarda Lubowskiego.

Pozostaje mi do zamknięcia rachunków z ubiegłym rokiem teatralnym wspomnieć o trzech nowościach, które urozmaiciły w Grudniu repertuar komedy i dramatu; trzy nowe sztuki w ciągu jednego miesiąca, to niebawoma obfitość wrażeń, do których nas p. Szymanowski od czasu swej gospodarki scenicznej nie przyzwyczaił.

A więc przy dobrej woli można dać aż trzy premiery na deskach Rozmaitości i to trzy premiery z oryginalnych utworów?... Na seryo, zdaje mi się, że to tylko „piękny sen“, o jakim nawet p. Kazimierz Zalewski nie marzył, pisząc swój prolog na otwarcie Teatru Łódzkiego, wystawiony raz jeden w Teatrze Wielkim na poranku dramatycznym, urządzonym przez Kasę pożyczkową artystów i oficyalistów teatralnych.

Przypuszczam, że tego „Pięknego snu“ reżyseria chyba przez przeczność jedynie nie włączyła do repertuaru, bo w nim było za dużo zobowiązujących morałów na temat godności sztuki i ideałów artystycznych a gorzkiej krytyki dla dzisiejszego teatru. *On ne parle pas de corde dans la maison d'un pendu.*

Ow chudy poeta i głodny aktor na poddaszu, śniący o Apollinie i muzach na Parnasie; o sławie i natchnieniu, o scenie, któraby była świątynią sztuki i o publiczności, dającej się porwać geniuszem jednego a zapałem drugiego, gdy obaj „duszę swoją im oddadzą“, wydają się w dzisiejszej dobie romantycznym anachronizmem, parą ideologów niepraktycznych, ale szlachetnych i nader ujmujących.

Miałbym wielką ochotę rozpisać się o nich obszerniej, lecz uczynię to dopiero wtedy, gdy ten „Piękny sen“ przestanie być efemerydą sceniczną i wejdzie na stałe do repertuaru, na co ze wszech miar zasługuje.

A tymczasem powiem słów kilka o dylletanckiej próbie autora, którego głośne nazwisko rodowe zdawało się z początku zapowiadać nowy objaw atawizmu w dziedzinie talentów pisarskich.

Wnuk wielkiego „ojca komedyi polskiej“ a syn pełnego werwy i humoru twórcy „Drzemki pana Prospera“ i „Obcych żywiołów“, Andrzej hr. Fredro, poprzedzony bardzo życzliwą reklamą w prasie warszawskiej, wystąpił po raz pierwszy i bodaj czy nie ostatni w roli autora na tej samej scenie, na której dziad i rodzic święcili tyle tryumfów.

Jednoaktową jego drobnostkę p. t. „Stowarzyszenie kobiet wyższych“ przyczepiono do dziadka „Zręczności i przekory“ obok ojcowskiego „Consilium facultatis“.

Fredrowski wieczór złożony z mniejszych utworów trzech pisarskich pokoleń jednego rodu, zadał kłam przysłowiu, że „niedaleko padnie jabłko od jabłoni“, przynajmniej pod względem talentu, bo dziedziczość zawiodła nadzieje pokładane w zdolnościach literackich wnuka. „Stowarzyszenie kobiet wyższych“, jak na komedię posiadało za mało sensu, a jak na farsetkę za mało humoru i rzeczystwego dowcipu.

Dwie karykaturalne figury kobiety-doktora i kobiety-adwokata, mające wyszydzić emancypacyjne dążności płci pięknej, wyszły w naszkicowanych sylwetkach tak blade i tak naiwne, że cios wymierzony przeciw naszym emancypantom zwrócił się od razu przeciw samemu autorowi.

Gdyby przynajmniej szczerzy i oryginalny komizm w sytuacyjnych pomysłach, gdyby humor i werwa w prowadzeniu akty, gdyby dowcip w dialogu ożywił tę klejonkę scen nieprawdopodobnych, możebyśmy wyrzucając tego „pierwszego kota za płoty“, dopatryli się w nim chociaż dobrej rasy, ale niestety—nawet tego przyznać mu nie podobna.

Nie chcę jednak przesądzać przyszłości; zawsze to dla krytyki odpowiedzialność wielka wytrącać komuś pióro z ręki, zwłaszcza jeżeli ten ktoś jest wnukiem starego Fredry i synem ojca, który nie

o wiele lepiej zawód swój komedyopisarski rozpoznał.

Omijam porządek chronologiczny i aby się od razu uporać z jednoaktówkami, wspomnę o „Dniu wigilijnym“ Edwarda Lubowskiego, jakkolwiek był on ostatnią po „Synie“ Zalewskiego nowością naszego repertuaru i zakończył rok ubiegły w sposób do pewnego stopnia aktualny, bo wystawiono go przed samymi świętami w przeddzień wili Bożego Narodzenia.

Jubilat dramaturgii naszej, któremu po trzydziestu latach pracy na polu piśmienniczym, w d. 28-go z. m. wyprawiono świetny bankiet i ofiarowano kosztowne a miłe autorskiemu sereu upominki, nie lubił zabawiać się drobiazgową twórczością, pisał głównie utwory większych rozmiarów, spektaklowe, poruszające szersze i głębsze tematy społeczno-moralnej natury. Niekiedy tylko, jakby dla wypoczynku i wypróbowania pióra, kreślił humoreski sceniczne w rodzaju: „Kiedyż obiad“ lub „Przez wdzięczność“.

W „Dniu wigilijnym“ nastroił się na ton poważniejszy, rzewny, odpowiadający bardziej przedmiotowi i sytuacji tego wdzięcznego obrazka, w którym odmalował jakby żywcem z natury dwa typy starych kawalerów, odosobnionych z własnej winy od świata w chwili, w której ta samotność ludzi, idących tylko w pojedynkę drogą życia, najbardziej uczuwać się im daje.

Jeden i drugi przeszli swoją młodość dawno już minioną, nie skorzystawszy ze sposobnej chwili szczęścia, które się do nich uśmiechało, pozwolili się zrazić lada czem w miłości i mogąc się w porę ożenić, pozostali starymi kawalerami. Nie mają własnego ogniska domowego, nie mają rodziny, odczuwają też chłód życiowej pustki, którą sobie sami przygotowali. W dniu wigilijnym mogliby tylko na przyczepkę znaleźć się przy cudzym stole, więc wolą ten uroczysty wieczór spędzić u siebie, niżeli być intruzami w czyjekolwiek kole familijnem. Nadrabiają jednak, miną udają, że im z tem dobrze, ale w sercu tęskno i smutno, w duszy nurtuje żal, że zmarnowali sposobność do szczęścia, które już drugi raz nie przyleci, jak rajskie ptasze, spłoszone niedowiarstwem i lekkomyślnością obu.

Pocieszają się tedy do spółki, jak mogą, lecz w końcu tęsknota do ludzi, potrzeba cieplejszej atmosfery, choćby widoku cudzego szczęścia i zadowolenia skłania ich przyjąć zaprosiny podchmielnego sługi, który z litości nad swoim panem, spędzającym samotnie wieczór wigilijny w swym pustym domu, przychodzi zabrać go na „rybkę“ do swego ubożego stołu i przy tej okazji daje obu starym kawalerom niechęć moralą o znaczeniu i korzyściach małżeństwa.

Z prostotą i naturalnością bez pretensji a z szczerością uczucia malował Lubowski ten miniaturowy obrazek rodzajowy, w którym znalazł się ton psychologiczny w kilku subtelniejszych nawet rysach, charakteryzujących główne figury. Pp. Frenkel, Ładnowski i Narkiewicz odegrali to dramatyczne Trio prawdziwie artystycznie.

Poważnym nabytkiem oryginalnym repertuaru Rozmaitości, który w nie wcale zeszłego roku nie obfitował, była cztero aktowa sztuka Kazimierza Zalewskiego p. t. „Syn“. Jest to jedna z owych *pièces à thèse* w których od czasu Dumas'a syna odbiło się na scenie francuskiej tyle życiowych kwestyi i paradoksów.

Zalewski natrafił na temat bardzo żywotny i moralny, oryginalnie pomysły i w naszej przynajmniej literaturze dramatycznej nowy.

Postawił sobie śmiało pytanie: kto właściwie ma większe prawo do syna, czy ów ojciec, któremu dziecko zawdzięcza tylko przyjsie na świat, czy ten ojczym, który mu dał nazwisko, wychował i wprowadził na ludzi?...

Fizjologiczne i prawne względy przyznają zawsze tytuł ojcostwa pierwszemu, chociaż on tak często pozostaje tylko tytułem bez swego właściwego znaczenia; humanitarne i moralne ujmą się za tym drugim, który spełnił zadanie pierwszego, jest ojcem faktycznym z ducha, z obowiązków, z powołania, jakkolwiek jest tylko substytutem swojego poprzednika.

Kwestya ta nabiera jeszcze więcej jaskrawości i ostrzejszych konturów, jeżeli się ją postawi w warunkach anormalnych, jak właśnie w sztuce Zale-

wskiego; jeżeli tym pierwszym ojcem cielesnym będzie mężczyzna, który popełnił ciężką winę uwiędzenia niedoświadczonej dziewczyny i nie miał doświadczenia honoru i sumienia, by złe naprawić, a matce swojego dziecka wrócić cześć zrabowaną a dziecku swemu nadać nazwisko swoje i opiekę.

Taką winą plami się młody hulaka, panicz bogaty, potomek rodziny szlacheckiej, używający z nadto przywilejów młodości i swego stanowiska; natrafia na swojej drodze biedną dziewczynę, która mu się podobała, wciąga ją w miłość, zrywa jej niewinność, jak kwiatek przy drodze i... goni dalej za swemi przyjemnościami.

Pan Jerzy Olkszycki jest tedy hultajem pospolitego gatunku, przeciętnym typem złotej młodości, która tylko nie zawsze wikła się aż w tak poważne konsekwencye swych grzeszków młodości.

Na korzyść jego da się przynajmniej to powiedzieć, iż dla względów „familijnych“ nie mogąc się ożenić z ofiarą swej lekkomyślności, stara się o ulżenie jej smutnej doli materyalnie, wyszukuje dla niej w szpitalu umierającego suchotnika, który *in extremis* godzi się ją zaślubić i dać nazwisko tej młodej wdowie... po niedoszłym mężu a dziecko jej uznać za swoje.

Schodzi tedy do grobu z uczciwym poświęceniem, za co niechaj mu ziemia lekką będzie!

Syn pana Olkszyckiego nosi nazwisko Koresza i wychowuje się w tem przekonaniu, że jest najlegalniej urodzonym jedynakiem wdowy, którą wspomniałszy „przyjaciel“ wydaje powtórnie za męża za poczeiwego safandę Joachima Baluszyńskiego, obdarzając go swoją protekcją i pomagając do kariery.

Baluszyński nie domyśla się niczego; ożenił się z wdową po nieboszczyku Koreszu, małego Janka przygarnął do siebie, jak ojciec, dochował się własnej córki i obie te pociechy kocha całym sercem dobrego, prostego lecz szlachetnego człowieka.

Jemu młody Koresz zawdzięcza teraz wszystko; przy nim, pod jego troskliwą opieką ukończył szkołę, wyszedł na ludzi, został pomocnikiem rejenta, nauczył się ojezjyma szanować, poważać i kochać, jak własnego ojca, po którym nawet wspomnienie mu nie zostało.

Tymczasem lata upływały, Olkszycki się zestarzał, własnej rodziny sobie nie utworzył i teraz dogorywa w pustym, magnackim pałacu, otoczony ni by stadkiem kruków, czehających na żer, gromadką krewnych i powinowatych, wśród których hrabina Matylda Klaporzewska, Metternich w spódnicy zimna, wyrachowana kokietka i zepsuta dama światowa prowadzi podstępna a sprytna walkę z najbliższym kuzynem Olkszyckiego, Stanisławem Dęboradzkim o zagarnięcie dla siebie wyłącznie spodziewanego spadku.

Wśród tych intryg chciwej i nie przebiegających w środkach familijki, dogasa stary Olkszycki i umarłby może, nie przypomniawszy sobie syna, gdyby pomysłowa hrabina Klaporzewska nie usnuła sobie bardzo dyplomatycznie pomyslanego planu obalenia kiedyś testamentu kuzyna; by zaś tę ewentualność przygotować i niefortunnościami prawnymi przy robieniu zapisu zdradnie testament opatrzyć, podsuwa Olkszyckiemu myśl sprowadzenia młodego Koresza, naprawienia grzechu młodości, zobaczenia raz jeszcze przed śmiercią Baluszyńskiej i t. p.

Spekuluje na psychologię.

Stary się rozrzewni, rozczuli, zrobi zapis na korzyść syna nieprawego pochodzenia, a potem będzie można ten punkt właśnie zaatakować, testament obalić i przy prawnym podziale majątku urwać dla Klaporzewskich spory kawał fortuny. Byle tylko kuzynek Dęboradzki nie uzyskał wszystkiego!

Podstępne jej machinacje doprowadzają do celu, ale mimo to nie dają się uwieńczyć spodziewanym skutkiem. Najgłówniejsza a najmniej spodziewana przeszkoda znajduje się właśnie w „synu“.

Sprowadzony do łoża umierającego Olkszyckiego Koresz, gdy się dowiaduje o swoim faktycznym pochodzeniu, odrzuci te ręce, które za późno się do niego wyciągają po uscisł synowski, po jedną czulszą pieczęć za cenę nawet wielkiego mienia i adoptacji. Jaktóż... miałby się teraz dopiero przygarnąć do ojca, który go odrzucił, od urodzenia znać nie chciał, wstydział się go i odsuwał przez lat dwadzieścia kilka?... Miałby zapomnieć o hań-

bie swojej matki, o krzywdzie jej i sobie wyrządzonej?.. miałby zdradzić niewdzięcznie i odsunąć się od tego poczciwego ojczyzma, który go wychował, nad nim czuwał, kochał go całym sercem, uważał za swoje dziecko?.. Nie, tego mu honor, sumienie, uczciwość, żal i słuszną uraza do prawdziwego rodzica uczynić nie pozwolą.

Nie przyjmuje spóźnionych darów, wyrzeka się nazwiska i spadku, woli zachować w sercu piętyzm dla owego biedaka, który umierając, zasłonił sobą wstyd jego matki, darował mu swoje nazwisko; woli pozostać synem tego drugiego poczciwca, który go przygarnął, uczył, wychowywał, kochał i dawał mu opiekę.

Upokorzońcy i ukarani za swoje winy Olkszycki zejdzie do grobu bez pociechy, która mu się nie należy, bez „syna“, którego sobie za późno przypomniał dopiero w egoizmie osamotnionej starości; ale zejdzie do grobu przynajmniej innym wynagradzając winy, popelnione względem własnego dziecka.

Zapisuje majątek cały na podrzutków, dla dzieci pozbawionych rodzicielskiej opieki i miłości.

Tę ekspiacyą kończy się sztuka Zalewskiego.

Niema w niej zagmatwań intrygi, niema sytuacji naprzeczonych, oprócz sceny końcowej między ojcem a synem, niema ruchliwej akcji, ale jest idea nowa i zajmująca, jest dążność przemawiająca do wszystkich serc szlachetniejszych, jest wyborna charakterystyka wszystkich figur i konsekwentna, staranna budowa sztuki z efektywnym na końcu rozwiązaniem.

Słowem, jest to jedna z najlepszych i najdojrzalszych prac Zalewskiego.

Grano „Syna“ bardzo dobrze.

Pani Ludowa, jako hr. Klaporzewska, łączyła dystynkcyę salonowej damy wielkiego świata z nadzwyczaj subtelnym sprytem przewrotnej dyplomatkę i intrygantki; dała istny koncert pod względem cieniowania dykcyi i rzeźbienia myśli w żywym słowie.

Pp. Nowicki w roli tytułowej, Frenkiel doskonały, jako Baluszyński, Ładnowski w małej lecz bardzo ważnej i odpowiedzialnej roli Olkszyckiego, Wolski (Dęboradzki) Roland (postać epizodyczna) i Wojdałowicz (żyd), dodający trochę humoru posępnemu nastrojowi sztuki, stali zupełnie na wysokości zadania.

Reżyser nie dosyć starannie wczytał się w szczegóły wystawianej przez siebie nowości; w trzecim akcie wyraźnie powiada Koresz do matki:

Chodźmy już, noc zapada! — a na scenie jest jasno, jak o południu i nie zciemnia się nawet w akcie czwartym, który bezpośrednio po trzecim, a więc wieczorem już prawdopodobnie następuje.

Drobny to szczegół reżyserskiej niewagi, ale przytrafia się p. Szymanowskiemu coraz częściej.

M. Gawarewicz

RUCH MUZYCZNY.

Pół roku minęło od czasu, kiedy pióro zgasłego przedwcześnie s. p. Jana Kleczyńskiego po raz ostatni na tem miejscu skreśliło wrażenia muzyczne z letnich koncertów Meydéra w Dolinie Szwajcarskiej. Niech mi wolno będzie gorącym wspomnieniem uczcić pamięć utalentowanego artysty i wyfrawnego krytyka, który w naszym świecie muzycznym odegrał rolę wybitną i zdobył imię zasłużone w literaturze estetycznej. Wszystko, co wychodziło z pod pióra s. p. Kleczyńskiego, nosiło na sobie cechę niepospolitą: głęboka wiedza fachowa, dokładna znajomość różnych kierunków muzycznych, sumiennosc i bezstronność w traktowaniu spraw artystycznych — wszystko jak najlepiej względem niego usposabiało; krytyki s. p. Jana Kleczyńskiego były chętnie czytane, liczono się z niemi, bo wpływ rzeczywisty wywierały bardzo

Mnie z kolei wypadł zaszczyt orania tej samej niwy, którą tak owocodajnie użyźniało pióro zmarłego poprzednika mego. Wedle sił będę się starał go zastąpić.

Ubiegłe półrocze na samym wstępie ma się czem pod względem muzycznym pochwalić. Warszawa, jakby odwzajemniając się Pradze Czeskiej za wprowadzenie do „Narodnego Divadla“ Mo-niuszkowskiej „Halki“, na scenie teatru Nowego, a później Wielkiego, wystawiła operę narodową pobratymczego ludu: „Sprzedana narzeczona“ Bed-zrycha Smetany. Lud i pieśń czeska przemówiły żywo do warszawskiej publiczności, która zetknęła się z twórczością największego kompozytora Czech, odczuła jego fantazyę i zbrała się duchowo z mistrzem, co wysnuł z siebie melodje wielkiej piękności.

Reżyserowi teatru małego, p. Ludwikowi Śliwińskiemu, należy się za inicjatywę i urzeczywistnienie dzieła pochwała i wdzięczność szczerą, spełnił bowiem ważne zadanie w sposób godny najwyższej sympatii.

Przed oczami naszymi w operze tej przesuwa się cały szereg rodzajowych obrazów: wieś czeska z swoim pięknym kolorytem i fizjognomją, wesoła i wdzięczna, lud czeski pociągający i ruchliwy — dzielne postaci Janka, Marynki; wszystko porusza się i kipi. Plastyka barw łączy się z wyrazistością muzyki; z energją niespożyta „Polki“, „Turjanta“, „Skocznej“ — trzech tańców o wybitnym charakterze narodowym i temperamencie ognistym.

Pieśń płynie łatwo i mile wpada w ucho, dużo posiadając w sobie rytmiki. W głębi tych melodji i tańców; w harmonicznych zwrotach instrumentacyi widzimy świetną robotę znakomitego kontrapunkcisty, każdy szczegół wiąże się z całością, spaja i łączy w organiczną jedność — pieśń zaś, unosząca się po nad wszystkim — rozmarza i upaja.

Uwzględnienie ludowych motywów, malujących życie wiejskie, nie sprowadziło kompozytora z prostej i jasnej drogi; w „Sprzedanej narzeczonej“, pomimo doskonałego opracowania technicznego, niema frazesów ciężkich i zagmatwanych; mistrz wiedział, że melodya, zawsze będzie w operze tryumfowała po nad wszelkimi wyrozumowaniami „wagnerjanizmami“.

Para kochająca się przeprowadzona jest w muzyce ładnie, z ściągnięciem często dowcipnem, a w znacznej mierze z poetycznym uczuciem.

Wesołość, lekkość, swoboda, obawa, niepokój, smutek — wszystkie te zmiany usposobienia znajdują w „Sprzedanej narzeczonej“ wyraz odpowiedni i przekonywający. Podkład psychologiczny, niezaprzeczona prawda każdej sytuacji wpływają na ekspresyę pełną szczerosci i chwytającą za serce.

Z ogromnym humorem narysowany jest swat wiejski, Kećal. Postać ta ma tyle werwy i komizmu, że w nowem świetle ukazuje talent Smetany; ta strona zaś wcale od innych nie jest niższa. Również przepysznie naszkicował autor sylwetkę głupkowatego Tomka. Jego urywana dykcyja, śpiew jakoby, nie przekraczając granic estetycznych, ani nie budząc przykrego uczucia, uwydatnione są w partyi tej z niemałym zasobem humorystycznego talentu. Pięknie prezentują się także zbiorowe ustępy opery, chóry wywierają silne wrażenie. Muzyka baletowa, jak to wyżej nadmienilem, urywająca w wysokim stopniu każdy z trzech aktów i przyczynia się do ogólnego zarysu nader dodatnio.

Personel artystyczny teatru Małego wywiązał się z ciężkiego zadania nadspodziewanie dobrze. P. Czarnosowska, w roli tytułowej, była bardzo wdzięczną i miała w grze i śpiewie dużo sentymentu. Dobrym Jankiem był p. Pieniewicz, młody, liryczny tenor operetki warszawskiej, szybko się rozwijający; w przyszłości niewątpliwie zajmie on wybitne miejsce w świecie wokalnem ma bowiem podatny do lepszego repertuaru głos, potrzebuje tylko popracować nad aktorską stroną techniki.

Drugą premierą, jaką usłyszeliśmy w zeszłym półroczu, był „Hamlet“ Thomas'a. Nieśmiertelne dzieło Szekspira dostarczało niejednokrotnie różnym kompozytorom tematu, do tworzenia opery. W arcydziele albiońskiego wieszca szukał na

nie był wystawiony; po nim dziewięciu włochów próbowało swych sił w tym kierunku: Gasparini (jego „Hamlet“ był wystawiony w Rzymie 1705 r.), Scarlatti (Rzym 1715), Careano (Wenecya 174), Caruso (Florenca 1790 r.) Androzzii (Genua 1793 r.), Marcadante (Medjolan 1822 r.), Buzze-la (Wenecya 1848 r.), Morom (Rzym 1860 r.), Faccio (Genua 1865 r.). Czech Mereczek, Niemcy Stadtfeld i Weigl na tem tem swój talent przedstawiciele pragnęli — bezskutecznie. „Hamlet“ Weigla był wystawiony w 1810 r. w teatrze domowym książąt Lubomirskich.

Dopiero Thomasowi udało się swoim „Hamletem“ zainteresować szerszy ogół. Nie można powiedzieć, żeby przeróbka tragedji na libretto w zupełności powiodła się pp. Carremu i Barbierowi, lecz to pewna, iż niema chyba trudniejszego tematu w tej mierze, jak przykrojenie „Hamleta“ według wymagań operowych.

Ambroży Thomas, liczący obecnie lat 84, twórca „Mignony“, dowiódł w „Hamlecie“, niepospolitego talentu, skoro dzieło jego może zaciekawie, zwłaszcza jeżeli ma dobrych wykonawców. Właściwie tylko rola Ofelji zawiera dosyć liryzmu, aby na nim oprzeć się w pisaniu opery. Kompozytor francuzki zdołał zrećznie i sprytnie użyć efektów kolorystycznych do wycieniowania pojedynczych części opery.

Wyborny muzyk zna się na warunkach scenicznych i umie używać efektów dramatycznych. Korzysta z tego materiału potrafili świetnie tać barytonowie, jak Faure, Maurel, Lassale i Battistini; temu ostatniemu artyście zawdzięczamy, żeśmy dzieło Thomas'a na scenie naszej usłyszeli, nadto zaś, żeśmy przed oczami mieli takiego Hamleta.

Ale bo też Battistini, to artysta, jakich mało na całej kuli ziemskiej. Głos, umiejętnosc śpiewu, przedziwna technika, gra sceniczna w wyższym stylu — wogóle indywidualność włoskiego barytona wysuwają na pierwszy plan i oświetlają ją blaskiem olśniewającym. Battistini odtworzył w teatrze Wielkim szereg postaci, między innymi Don Juana, zdobywając wyjątkowe powodzenie. Występy tego artysty w kronice muzycznej zapisać należy najwybitniejszymi głoskami.

Bardzo dodatnio wyróżniła się także z grona włoskich gości panna Pacini, której Ofelja miała prawdziwą w sobie poezyę i wdzięk dziewięcicy. Artystka śpiewa już teraz po mistrzowsku.

Wystawienie „Hamleta“ było imponujące. Nowe dekoracye pędzla p. Klopfera wyglądały przeszlicznie.

Zeszłoroczna impreza krakowskiej opery, na której czele stał p. Ludwik Heller (dzielny kierownik artystyczny tej drużyny śpiewaczej), dostarczyła teatrowi naszemu trojga artystów, którzy z powodzeniem wystąpili na scenie teatru Wielkiego. P. Ignacy Warmuth obdarzony jest głosem silnym, dźwięcznym i metalicznie brzmiącym. Artysta śpiewa pełno, szeroko, nie oszczędzając siebie. *Forțe i mezza voce* są u niego rozwinięte bardzo pięknie, cała zaś skala głosu równa jest i pełna. P. Warmuth zbierał najhuczniejsze oklaski, jak Eleazar w „Zydówce“.

Wcale zajmująco przedstawił się młody śpiewak baryton, p. Gabrijel Górski, krakowianin. Artysta posiada w interpretacyi inteligencyę, obok zalet czysto wokalnych. Jest to zresztą wyjątkowy śpiewak, ma bowiem uniwersyteckie wykształcenie.

P. Camillowa, dawna znajoma Warszawy, wystąpiła kilkakrotnie w operze i na koncercie, zyskując zasłużone powodzenie.

Towarzystwo Muzyczne dało kilka wieczorów bardzo pięknych zarówno pod względem doboru programów, jak i osób, produkujących się na estradzie. Oprócz dwóch potentatów fortepianu, pp. Józefa Hofmana i Józefa Śliwińskiego, jaśnieją inne nazwiska słynne w sztuce.

Niedawno jeszcze Jozio, a dzisiaj p. Józef Hofman, gra przepysznie. Jest to olbrzym tonu i mistrz wydobywania z instrumentu wszystkich uczuć od najsilniejszych do najdelikatniejszych. Fortepian pod palcami wirtuoza nabiera jakiegoś życia odrębnego, drga sentymentem i potęgą.

Józef Śliwiński ma w grze charakter sobie właściwy, polegający na precyzyi i elegancyi traktowania danego utworu. Utalentowany artysta odtwarza zwłaszcza z wielką poezyą genialne kompozy-

eye Chopina. Nie potrzebuję bliżej zaznajamiać czytelników z rodzajem gry Śliwińskiego, ponieważ „Bluszczyk” niejednokrotnie ocenił talent artysty.

Z młodych sił, które słyszeliśmy z estrady, na wyróżnienie zasługuje uczennica prof. Michałowskiego, bardzo zdolna pianistka, p. Ludwika Janowska.

Odniosła ona tryumf wysokimi zaletami technicznymi oraz grą pełną smaku i uczucia. Wykonaniem „Fantazyi” (Fis-moll) Chopina dowiodła rzeczywistego talentu, który się już umie zdobyć na pewną indywidualność.

Doskonale się zaprezentowała również jedna z ostatnich uczennic Rubinsteina, p. Katarzyna Jaczynowska, wychowanka konserwatorium petersburskiego, wyższe uzdolnienie posiadająca pianistka. Talent jednoczy się tu z wyborną szkołą, które to właściwości doprowadzają artystkę na wyżyny sztuki.

Z wirtuozów zagranicznych wywołał niebywały zapał grą na skrzypcach, p. Willy Burmester. Program koncertu, który artysta wypełnił sam jeden, obejmował dzieła Wieniawskiego, Ernsta, Sarasatego, Joachima, Schumanna, Bacha i Paganiniego, w którego ślady p. Burmester wstępuje; krytyka berlińska nazwała nawet skrzypka tego „zmarłychwstałym Paganinim”. P. Burmester gra tak, że zdumiewa i przykuwa do swego smyczka. Takiej techniki, jaką posiada ten majster, nie ma dziś nikt w świecie; są to już ostateczne granice sztuki i dalej iść niepodobna.

Słowo przy tej sposobności należy się niepospolitemu akompaniatorowi, p. Ludwikowi Ursteinowi, który zapisał się niejednokrotnie w pamięci słuchaczy swoją umiejętnością dostrajania się do solisty i zlewania akompanjamentu w harmonijną całość ze śpiewem. Można naszemu instytutowi muzycznemu powinszować takiej siły, jaką rozporządza w osobie p. Ursteina.

Jak gwiazda pierwszorzędnej wielkości, zajaśniała na horyzoncie muzycznym Warszawy sławna śpiewaczka, Marcelina Sembrich—Kochańska, od lat kilku nie występująca w naszym mieście. Mistrzyni śpiewu pozostała dotąd nieporównaną artystką, która jest klasyczną przedstawicielką sztuki wokalne. P. Kochańska śpiewa stylowo a głos jej słowiczy w zachwyt wprowadza wszystkich i wzrusza słuchaczy do głębi. Pozostawiła też po sobie wielką artystką wspomnienie niezatarte i obiecała w r. b. wziąć udział w jednym z koncertów towarzystwa muzycznego.

P. Władysławowi Zahorowskiemu zawdzięczamy parę wielkich, popularnych koncertów w gmachu cyrkowym; koncerty te świetnie przez p. Z. urządzone wypadły jak nie można lepiej.

Do najwspanialszych należał koncert Moniuszkowski, z którego dochód przeznaczony został na wydawnictwo dzieł twórcy „Halki” rękopiśmiennych, dotąd niedrukowanych.

Rozpocząłem sprawozdanie niniejsze od wspomnienia pośmiertnego i muszę je zakończyć podwójną notatką o śmierci. Smutny to, ale konieczny obowiązek.

W dniu 10 listopada r. z. zmarł w Warszawie w osmdziesiątym roku życia zdolny kompozytor, niemal zapomniany w najnowszej dobie, dawniej istotnie ceniony twórca dzieł tanecznych i salonowych, ś. p. Stefan Łodwigowski. Urodzony w Iłży d. 14 sierpnia 1815 r., kształcił się pierwotnie na skrzypka. Przybywszy w r. 1836 do wuja swego Józefa Nowakowskiego, do Warszawy, tu pozostał i poświęcił się sztuce, zasłynawszy jako dobry pedagog i autor lekkich utworów.

Świetnie pisał do tańca: jego mazury, polonezy, oberki i krakowiaki odznaczały się werwą i brawurą. Popularność także zdobyły transkrypcje fortepianowe Łodwigowskiego z oper: „Bukiet melodyj polskich”, „Skarbiec melodyj polskich”, „Melodye z „Halki”, oberki: „Sandomierzak”, „Mazowiec” etc.—to są ważniejsze tytuły prac zgasłego muzyka, który sumiennie i uczciwie przez lat kilkadziesiąt służył pięknu.

Listopad przyniósł jeszcze inną, większą dla sztuki polskiej stratę: w miesiącu tym zmarł znakomity kompozytor, ś. p. Aleksander Zarzycki. Natchniony to był i z natchnienia piszący artysta; na

zadanie kompozytora patrzył z idealnego stanowiska i nigdy lotu swego nie zniżył. Niezależny materialnie, mógł iść za popędem własnej fantazyi i tworzyć tylko wtedy, gdy czuł potrzebę wypowiedzenia swej myśli. Po pieśń sięgnął do fantazyi ludowej i wykwiłtnie opracował wiele utworów wokalnych. Rzeźbił artystycznie najdrobniejszy szczegół, zanim całość światu ukazał. Ogólną też cieszył się zawsze sławą, jako mistrz formy, zamykającej treść głębszą. „Mazurek” Zarzyckiego i jego piosenka: „Między nami nie było”—najszerszą zyskały popularność. Ostatnie wielkie dzieło swoje: „Suite polską”, Zarzycki wykonał na koncercie własnym—szkoda niepowetowana, że to było pożegnanie artysty z publicznością na wieki. „Suite polska” dała świadectwo pełnej dojrzałości talentu kompozytora: świetność instrumentacji, polot idei i świeżość uczucia—kładą na dziele tem piętno oryginalne i niepospolite.

Ś. p. Aleksander Zarzycki urodził się we Lwowie 1834 r. Od r. 1856 występował publicznie ze słynnym skrzypkiem Biernackim. Potem kształcił się w Paryżu u Rebera. W r. 1860 rozpoczął wędrowną artystyczną po stolicach europejskich, zbierając wszędzie laury. Od roku 1866 zamieszkał w Warszawie, gdzie jako dyrektor konserwatorium i kierownik towarzystwa muzycznego wykazał nie małe na obydwóch stanowiska zdolności. Usunął się, wskutek choroby, w zacisze domowe, chwilami tylko zjawiając się na estradzie. Zgasł przedwcześnie, zostawiając po sobie pamięć prawego człowieka i wielkiego artysty.

Adam Dobrowolski.

Kronika działalności kobiecej.

— Kandydatki lekarskiego instytutu w Petersburgu, otrzymają po ukończeniu studiów dyplom lekarza i korzystać będą z przywilejów nieograniczonej praktyki na mocy prawa istniejącego dla lekarzy wolnopraktykujących, jako specjalistki chorób kobiecych oraz dzieciennych i zajmować mogą posady przy kobiecych instytutach, gimnazyjach, pensyonatach i szkołach, oraz przy szpitalach kobiet i dzieci, któremi mogą zarządzać za pozwoleniem urzędów lekarskich miejskimi okręgami lekarskimi, przyjmować chorych w ambulatoryach szpitali w tychże okręgach.

— Pierwszym profesorem doktorem będzie w Rosyi kobieta, p. Kerschbaumer, która obejmie wkrótce katedrę oftalmologii w żeńskim instytucie lekarskim. Pani ta studyowała medycynę w Szwajcaryi i od lat dwudziestu kieruje założoną przez męża swego, lekarza austriackiego, kliniką oftalmiczną w Salzburgu.

— We wszystkich tanich kuchniach miasta naszego wydawane były w dniu wigilijnym obiady bezpłatne dla 1,500 osób, w gronie dobrodziejów, którzy się do tego przyczynili, mieściło się znacznych pań cztery: Beniowa, Szwedowa, Henebergowa i hr. Łubińska. W Przytułku noclegowym przy ulicy Czerniakowskiej brała udział w rozdawaniu bielnym wieczery mecenasowa Marya Lucyanowa Wrotnowska, rozdając mężczyznom ciepłe kaftany kobietom chustki, dzieciom ubrania ciepłe.

— Grono kobiet, pracujących w zakładach kapeluszników cechowych, jako obszywaczki i modelarki, zamierzyło wnieść podanie o przyłączenie ich do zgromadzenia. Cech to jest najmniej ruchliwy i nieliczny, powiększenie liczby pracujących tu osób byłoby rzeczą korzystną ze względu na zwiększenie przychodów kasy, jak i czynnego ruchu spraw korporacyi.

— W trzecim zakupie dzieł sztuki, mieszczących się w Towarzystwie sztuk pięknych, zakupiony został przez Towarzystwo obraz Stanisławy Karwowskiej „Kwiaty”.

— P. M. Sawicka zawiadomiła zarząd wystawy etnograficznej, iż nadesła tam dwa kostiumy aksa-

mitne kujawiaka, oraz kostium z okolicy Siedlec bardzo już rzadki i jedynie tam spotykany.

— Zamieszkała w Wrocławiu Regina Neisser, rozpoczęła cykl odczytów, przedstawiających „Postacie szlacheckich kobiet w historii, literaturze i sztuce.”

— W Krakowie ma być urządzona i otwarta wkrótce czytelnia dla kobiet z dobrem ksiązek o wychowaniu, oraz historycznych i w rozmaitych przedmiotach pracy kobiecej.

— W Tropawie obchodzonem będzie bardzo uroczyste rocznica wniesienia dwudziestopięcioletniego zakładu dla kobiet emerytek, których życie było pracowite i użyteczne dla społeczeństwa, zakład powstał niemal wyłącznie kosztem ofiar kobiet dobrej woli.

— Do składu komisji wystawy higienicznej zaproszone będą p. p. H. Kuczalska, dr Tomaszewicz Dobrska, M. Werycho i M. Keller.

— Na zjeździe ziemian, będących członkami ziemskiego Towarzystwa rolniczego, znajdowały się dwie panie: Marya Piotrowska i Aniela Jełowicka.

— Pisarka niemiecka, Klara von Glumer, zamieszkała w Dreźnie, której dzieła poświęcone zadaniom pracy kobiecej w rodzinie i społeczeństwie, były w czasie swoim nie tylko bardzo poczytne, ale i bardzo pożyteczne przez szlachetny jej pogląd na życie i obowiązki człowieka, obchodziła jubileusz pisarskiej swej pracy, na którą to uroczystość zjechało się wiele literatów i ludzi umiejących cześć obok talentu, który jest darem Bożym i dostojne, czyste życie.

— Ludwika Menzel, malarka na szkłe i porcelanie, otrzymała na wystawie w Lubeece złoty medal tak za artyzm wyższego gatunku, jak i dobór przedmiotów zawsze szlachetnie pięknych.

— Stowarzyszenie kobiet bawarskich w Monachium, zawiązane z celem ułatwienia zarobku kobietom niezamożnym z klasy inteligencji, istnieje tam od 1859 r., pośrednicząc między pracującymi a publicznością kupującą. Każda ze stowarzyszonych płaci rocznie zarządowi trzy marki, lecz tylko do wieku lat pięćdziesięciu, potem już zakład Towarzystwa przyjmuje wszystkie jej wyroby bez opłaty żadnej. Na cele stowarzyszenia stojąca pani stara się o możliwe rozszerzenie zbytu, w skutek tego urządzane są dwa razy do roku wystawy prac pań stowarzyszonych, cenione bardzo umiarkowanie, co przysparza kupujących, zwłaszcza, że wszystkie przedmioty są bardzo starannie odrobione, nad czem czuwają panie, stojące na czele stowarzyszenia.

— Związek kobiet alzackich wniósł dobroczynny przytułek dla sędziwych a spracowanych nauczycielek, gdzie obok tych, które płacić mogą za utrzymanie swoje, mieszczą się i zupełnie ubogie, których stan zdrowia, lub ciężkie okoliczności życia nie pozwoliły zebrać sobie nic na starość. Roczna opłata stowarzyszonych jest bardzo skromna, trzy marki, i dla tego właśnie jest tu zawsze znaczna liczba uczestniczek, a dodać trzeba że często stowarzyszenie otrzymuje dary od pracujących jeszcze nauczycielek, oraz różnych pań dobrego serca.

— Miss Nelli Temple, która kształciła się w Vassar College, została w Lipsku asystentką amerykańskiego historyka d-r Raisel, który wykłada tam historią a obok tego pisze obecnie dzieje Stanów Zjednoczonych, wyznając głośno, że ta jego asystentka jest mu w tej pracy jego wielce pożyteczną.

— Joanna Beneben, francuzka, otrzymała od uniwersytetu paryzkiego godność doktora filozofii. W tym samym czasie Florentyna Bascom została docentką filozofii w szkole głównej amerykańskiego uniwersytetu Bryn Mawr College, jedyna z kobiet, której przyznano w Stanach Północnej Ameryki taki stopień naukowy. W dwóch ostatnich latach wykładała na państwowym uniwersytecie w Ohio geologię.

Z bieżącej chwili.

— Donszą z petersburga iż Kolej Kaukazka została nawiedzona wielkim, a drugim już w niedawnym czasie wylewem rzek i potoków górskich. Naprawa plantu odbywa się z wielkim pośpiechem o ile tylko pozwala na to zapas potrzebnego materiału; mimo przywrócenia prawidłowego ruchu pociągów stać się to może nie wcześniej, jak w końcu stycznia. Pragnę uniknąć w przyszłości strat podobnych przy przewozie nafty podniesiono projekt przewozu tej nie wagonami, jak to działo się dotychczas, lecz za pomocą rur żelaznych ośmiocalowej średnicy, skoro tylko uzyskanem będzie zatwierdzenie go przez władze wyższe.

— Zanim Warszawa uzyska pozwolenie utworzenia stacyi ratunkowych dla osób dotkniętych nagłe nieszczęśliwym wypadkiem, powzięto zamiar, aby w każdej kancelaryi cyrkułowej znajdował się felczer, któryby mógł udzielić pierwszej pomocy, bo jest rzeczą stwierdzoną, że pośpiech w opatrunku decyduje nieraz o życiu chorego.

— Kuryer Warszawski, który uważać można za najpopularniejsze czasopismo naszego miasta, obchodził jubileusz brylantowy. Założony przez hr. Brunona Kiekiego w 1821 r., skończył w dniu pierwszym bieżącego miesiąca 75 lat bytu i w skutek tego odbyło się w kościele Ś-go Krzyża uroczyste nabożeństwo, na które przybyli wszyscy członkowie redakcyi, oraz administracyi i zakładów drukarskich.

— Wyszedł w tych dniach numer 4-ty *Wiadomości numizmatyczno arheologicznych*; kwartalnik ten poświęcony sprawom starożytności krajowych, mieści obok wiadomości z tego zakresu i wzmianki z ostatnich wykopalisk. Podali tu w numerze ostatnim prace swoje p.p. W. Łuszczakiewicz „Odlewy gipsowe rzeźb ze Strzelna“, dalszy ciąg monografii Leonarda Lepszego „Cech malarski w Polsce“, T. Pochwalskiego „O trojaku koronnym Zygmunta III-go“ bez daty roku; K. Balsamorzewskiego „Znaki pieczętne na ołowiu (plomby), znalezione w Bugu pod Drohiczymem.

— Na posiedzeniu sekcji przemysłowej z d. 5 stycznia załatwiono w obecności p.p. Hantkiego, który był przewodniczącym, Rosmana, Bormana, Remera, Kipmana, D-r Polaka, Marconiego i Rephana sprawę oświecenia elektrycznego na przyszłej wystawie higienicznej. Wydatki przyjmuje na siebie w części sekcya przemysłowa, w części zarząd wystawy.

— Budowa podziemnej kolei elektrycznej w Peszcie jest bliską ukończenia; odbyły się już nawet próby jazdy z najlepszym rezultatem. Żelazne konstrukcyje stacyi są już prawie gotowe i tylko brakuje im pokrycia; wewnętrzne ściany będą z majoliki. Stacje podziemne trudno jest rozróżnić od zewnętrznych, tyle w nich blasku światła elektrycznego, a doskonale urządzone wentylacye przepuszczają powietrze. Chcąc usunąć nieprzyjemne dla podróżnych kontrolowanie biletów mają być przy wejściu zawieszane automaty, wydające bilety za

odpowiednią ilość pieniędzy, jak się to praktykuje na kolejach amerykańskich.

— Wystawa w Peszcie zajmuje olbrzymią halę, w której ma się odbyć 70 koncertów, przecież najwspanialszą tu uroczystością będzie pochód historyczny w d. 8 czerwca, a miasto ustrojone będzie w kobierce i flagi, oraz w zieloność. Najwyżsi dostojnicy kraju mieścić się będą na czele.

— Donszą z Poznania, iż sprawa ogroblowania Warty jest już postanowioną, powstają przytem i inne projekta, a najważniejszym z pośród nich jest zamiar utworzenia w Poznaniu portu w miejscu obecnego łożyska tej rzeki. Projekt to jest przecież wielce śmiały i ryzykowny z powodu, iż gdyby nie dało się utrzymać w porcie wody na wysokości odpowiedniej, miastu groziłoby nieobliczone niebezpieczeństwo, a następnie i straty. Miasto przyczyniło by się chętnie do wykonania projektu, ale pragnie posiadać pewność, że uchroni się przez to od niszczących je zalewów. Komisya finansowa budowlana i prawna przedstawiły nareszcie radzie miejskiej korzyści, jakie by wynikły ztąd dla miasta i ostatecznie rzecz została przyjęta.

— Poznański Bank ziemski obchodził sześćdziesiąt lat istnienia swego i działalności, która uznana została przez ogół jako wysoce użyteczna. Przecież nowa emisya akcyi, których jest 800 (po 1,000 marek każda) nie została zupełnie pokryta, co przypisują tam zbyt długiemu, bo blisko dwuletniemu terminowi dla zbierania podpisów na akcyje nowej emisyi. Skutkiem tego zapisy szły bardzo powoli i dopiero w ostatnich tygodniach podniósł się ruch ożywczy, gdy kilku zaenych ziemian i ekonomistów przypomniało ogółowi wysoką ważność parcelacyjnego ruchu. Wykazano że w obecnych warunkach miejscowych parcelacya jest nietylko najkorzystniejsza, ale zarazem jedyna forma likwidacyi, która by bronila od wydziedziczenia z ziemi jej odwiecznych właścicieli. To też właściciele i powinni zrozumieć, że jest to ostatni już środek ocalenia własnego, a zarazem i spełnienia obowiązku względem ogółu. Przecież na 800 akcyi nowej emisyi parcelacyjnej podpisano nie wiele co więcej niż 500, czy przecież nie można sobie stworzyć szczęśliwego, a co więcej szlachetnie pędzonego istnienia na kawałku starej ziemi, choć bez pałaców i dwornie pędzonego życia, zwłaszcza gdy po za tem istnieje już tylko tułaczka.

porywa i zachwyca, oraz jaka jest w tem część rzeczywistości, a jaka ideału, rzucanego przed siebie przez fantazyą poety.

— Kobiety rodzą się tak, jak i mężczyźni, jedne do cichych obowiązków matki, żony, drugie do wyższych powołań wśród ludzkości, niczego też wzbrańać im się nie godzi, ale i nie popychać gwałtem na przód. Rodzimy się do posunięcia się tak daleko, jak sięgnąć mogą siły nasze, ale nie więcej. Wyrabiamy więc siły owe, potęgujemy światło, wpajamy tę zdrową zasadę we wszystkich, zarówno w kobiety jak w mężczyzn, że prawa równości są obowiązkami i jedne wyrastają z drugich; rola matek nie jest też nie mniej dostojną, jak rola prawodawcy. W wielu bardzo wypadkach prawa te, o które się ludzie dobijają, są brzemiennymi, obarczającymi ich tylko.

Kraszewski.

— Nieuczciwi i moralnie przedajni są ludzie, którzy idą za prądem panujących zdań, czy dla zyskania sobie sławy, lub spokoju, czy dla jakiegokolwiek korzyści własnej. Są też i słabi, którzy sofizmatem oszukują sumienie, dowodząc sobie, że słuszność jest po stronie większości, bo na jej wytworzenie się wpływać musi jakaś przyczyna ważna, zawierająca ideę wyższą.

Zmichowska.

OD WYDAWCY.

Początek drukującej się obecnie w dodatku do „Bluszczu“ powieści

pod tytułem:

Czy to miłość.

nowi prenumeratorowie otrzymać mogą nażądanie bezpłatnie.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się: powieść *Czy to miłość?* przez Franka Frankfort Moore'a. Przekład z angielskiego, ark. 6.

M Y Ś L I.

— Chęć zajrzenia w głąb ducha ludzi wyższych przez poznanie szczegółów ich życia jest naturalną, a zarazem dobrą chęcią. Chcemy poznać społeczeństwo w jego podniesieniu się wznioślejszem, dowiedzieć się w jakich warunkach, w jakich okolicznościach życiowych tworzonem było to, co nas

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBURG

EKSPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina; kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół. kwartal. 5 marek.

TREŚĆ: Edward Lubowski, przez J. Nitowskiego.—(z rysunkiem).—**Kędy droga?** Powieść współczesna, przez Wandę Grot-Bęczkowską (dalszy ciąg).—**Przegląd teatralny**, przez M. Gawalewicza.—**Ruch muzyczny**, przez Adama Dobrowolskiego.—**Kronika działalności kobiecej**. Z bieżącej chwili.—**Myśli**.

Dodatek obejmuje: *Czy to miłość?* powieść przez Franka Frankfort Moore'a przekład z angielskiego ark. 6. Przegląd mód. 25 wzorów i robót z opisem.—Sekreta gospodarskie.—Dyspozycya stołu.

Warszawa.—W Drukarni i Litografii S. Orgelbranda Synów, Krakowskie Przedmieście Nr 66.

Дозволено Цензурою.—Варшава, 27 Декабря 1895 г.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.